

Fot. J. Grabowski

Kwitnąca grusza.

NA TROPIE

Rok III. Kwiecień 1930. Nr. 4.

Ze świata skautowego.

HRABSTWO KENT, z którego przybywają skauci angielscy do Polski w dn. 20—25 bm., leży na południe od Londynu i przytyka do morza. W większości miejscowości tego hrabstwa istnieją drużyny skaut., liczące 13 749 członków w 322 drużynach skaut., 239 gromadach wilczęcych i 166 zrzeszeniach „rowerów" (starszych skaut.).

Zainteresowania drużyn całego okręgu są skierowane na pogłębienie idei zbliżenia narodów. To też skauci z Kent odbyli już szereg wycieczek do innych krajów, oni też witają i opiekują się każdym zagranicznym skautem, który przybywa na ich wielką wyspę. Po „Jamboree" przyjmowali 5000 obcych skautów różnych narodów, ich drużyny reprezentowały Anglję na narodowym zlocie hiszpańskim w Barcelonie, oni też 1928 r. towarzyszyli gen. Baden-Powellowi w wycieczce na Węgry.

Bardzo pouczającem jest ich ostatnie sprawozdanie roczne ze względu na przebijającą planowość w rozszerzaniu ruchu i dążności do oparcia go na trwałych podstawach finansowych, co oczywiście znakomicie ułatwia ofiarność społeczeństwa. Niedawno n. p. otrzymali oni 5000 funtów (t. j. około 217 000 zł.) od czterech hojnych ofiarodawców.

Posiadają też własne tereny, na których odbywają się kursy instruktorskie, kursy dla kierowniczek wilcząt (w Anglji przeważnie gromady wilcząt są prowadzone przez kobiety) i zjazdy starszych skautów. Niedawno nabyli też na własność teren nadmorski, na którym urządzać będą obozy morskie.

ZLOT SKAUTÓW SŁOWIAŃSKICH odbędzie się w roku 1931 koło Pragi, razem ze zlotem czechosłowackim.

SZTAFETA OGNISK. Z najdalszych krańców Czechosłowacji ku uczczeniu 10-lecia niepodległości biegła ku Pradze sztafeta ognisk. Zapalono je kolejno na szczytach na widok płonącego ognia w wyznaczonym miejscu, jak ongiś wici wojenne. Taką samą sztafetę skauci czescy zamierzają zorganizować ku uczczeniu 80-letniej rocznicy urodzin Prezydenta Massaryka.

WODNI SKAUCI CZESCY, którzy dotychczas 80 proc. łodzi wyrabiali sami, postanowili kupować je, a czas wykorzystać na ćwiczenia. (Cóż na takie postawienie sprawy nasi „Admirałowie"? — przyp. red.)

60 000 KLM. przepłyniętych w jednym roku przez wodnych skautów czeskich, utrzymuje się od paru lat bez znaczniejszych odchyleń.

ŻEŃSKIE MIĘDZYNAR. BIURO SKAUT. przystępuje do opublikowania książki, zawierającej dane statystyczne i historję ruchu żeńsk. organizacyj, należących do Biura. Teksty prawa i przyrzeczenia, rysunki odznak i mundurów uzupełnią wydawnictwo.

NIE ZNALEŹLIŚMY „SKRZYDEŁ" w spisie publikacyj, jakie otrzymuje „The Council Fire", organ wspomnianego Żeńskiego Biuro Międzynarod., od poszczególnych organizacyj skautowych. (Dlaczego? — przyp. red.)

SKAUTEK W CZECHOSŁOWACJI jest niewiele — bo zaledwie 1911, natomiast jedna tylko organizacja chłopców Svaz Junaku Skautu liczy 30 7000 członków, w tem 2853 instruktorów.

KATOLICKI SKAUTING NA SŁOWACZYŹNIE, który na podstawie specjalnej umowy wchodzi w skład Svazu Junaku skaut., ogólnopaństwowej organizacji, rozwija się wspaniale. Niedawno ukazały się podręczniki skautowe w języku słowackim, wydano też pierwsze numery „Skauta", który jest trzeciem drukowanem czasopismem skaut. na Słowaczyźnie.

DO MIĘDZYNAROD. ZJAZDU STARSZEGO HARCERSTWA w Kanderstegu w r. 1931 przygotowują się starsi skauci czescy i w tym celu organizują centralny obóz letni.

Na harcerskim szlaku.

WIADOMOŚCI Z POZNANIA. Po zupełnej zmianie Komendy Chorągwi, praca u nas poszła innym i lepszym torem. Dużo do tego przyczynił się Zlot Narodowy, który pozyskał dla nas wielu przyjaciół wśród społeczeństwa.

W Poznaniu mamy obecnie około 28 drużyn, z których wybijają się 16 im. gen. Bema, 1 lotnicza, 5 im. ks. Poniatowskiego, 14 im. Żółkiewskiego, Czarna 13, 21 im. Rejtana i 1 im. Chrobrego. Inne drużyny też pracują, ale już mniej. Od niedawna posiadamy harcerską orkiestrę dętą, siódemki.

W Kom. Chor. jednym z więcej pracujących jest Wydział P. W. Świadczą o tem zawody strzeleckie o mistrzostwo Chorągwi, urządzone 6 bm., do których stanęło 13 drużyn, z tego 3 z prowincji. Specjalnie popisały się zespoły: 16-tej, 1 lotniczej i 5-tej. Dalej Wydział P. W. urządza kurs dla instruktorów i sędziów strzeleckich od 21. 4. do 26. 4. A także i Wydział Organizacyjny pracuje z energją. Wynikiem tego są 3 nowe hufce, stworzone na prowincji. Zdarza się nieraz, że w jedną niedzielę wizytuje się do 7-miu miejscowości, aby zbadać stan pracy.

Obecnie powstaje u nas hufiec starszo-harcerski (akademicki). 3 drużyny w Chorągwi posiadają własne pisemko: 16-ka „Bemak", 21-sza „Rejtaniak" i koło starszo-harcerskie w Kościanie „Swastyka".

Komenda Chorągwi przygotowuje obozy (kursy) instruktorskie i zastępowych. Spodziewana jest wielka ilość uczestników. Kom. Hufca natomiast prowadzi obecnie kurs zastępowych dla drużyn przy szkołach powszechnych i wydziałowych.

Na prowincji najlepiej pracuje środowisko Kościan, obejmujące koło starszo-harcerskie, gromadę włóczęgów i kilka drużyn.

W radjo poznańskiem co niedzielę o godz. 17 jest wygłaszana gawęda harcerska. Organizuje ją Wydział Propagandowy Kom. Chor., który prócz tego w „Kurjerze Poznańskim" uzyskał jedną szpaltę na tydzień. Niedługo zaczną się ukazywać wiadomości z naszego życia w tem poczytnem piśmie.

Tuż po świętach mają przyjechać, już od dawna zapowiadani, Anglicy. Aż 150 osób. Już teraz w Kom. Chor. ruch i wszyscy z dhem gen. Hallerem na czele, przygotowują się do powitania gości, tak, by Poznań wywarł na nich dobre wrażenie.

Szary Wilk.

Z Pabjanic.

Mija 15 lat od chwili, kiedy Harcerstwo Pabjanickie obchodziło uroczystość poświęcenia sztandaru. 15 lat kawał czasu — to też nic dziwnego, że obecny sztandar harcerski jest postrzępiony.

Myśl o ufundowaniu nowego sztandaru nurtuje w miejscowych Komendach Harcerskich już od lat dwóch, przystąpiono nawet do zbierania składek wśród młodzieży harcerskiej. Obecnie sprawa ta została ostatecznie zdecydowaną i w dniu 23 marca br. zorganizowany został Komitet Ufundowania Sztandaru, w skład którego wchodzą przedstawiciele Koła Przyjaciół Harserstwa, oraz Komend Hufców Żeńskiego i Męskiego. Przewodniczącym Komitetu jest dh. St. Adaszewski, zastępczynią dhna J. Broniecka, sekretarzem dh. Miron Badziak i skarbnikiem dh. J. Malinowski. Pozatem do Komitetu zaproszeni zostali opiekunowie poszczególnych drużyn.

Sztandar ten ma być ufundowany wyłącznie ze składek młodzieży harcerskiej i Koła Przyjaciół Harcerstwa.

Wzór sztandaru został już ustalony i przesłany Zarządowi Oddziału Łódzkiego do zatwierdzenia. Sztandar będzie o barwach narodowych. Na stronie o barwie czerwieni polskiej umieszczony będzie orzeł, wokół zaś napis: „Związek Harcerstwa Polskiego w Pabjanicach". Po rogach sztandaru umieszczone zostaną: krzyż i lilijki harcerskie, oraz herb m. Pabjanic. Na drugiej stronie o barwie białej znajdować się będzie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej a wokół napis: „W jedności z Bogiem — W pracy z Narodem", oraz data poświęcenia.

Sztandar wykona firma poznańska, która okazała się znacznie tańszą od firm miejscowych.

Poświęcenie sztandaru odbędzie się w dniu 8 czerwca br. w czasie tradycyjnego Zlotu drużyn miejscowych.

Kot w butach.

HARCERSKIE KURSY W. F. odbędą się w lecie b. r. w Wilnie dla harcerzy z O. K. 1, 3, 9, — w Pyzdrach (Woj. Pozn.) dla harcerzy z O. K. 4, 7, 8, — w Staszowie dla O. K. 2, 5, 6, 10.

HARC. KURSY DLA NAUCZYCIELI z Kuratorjum Lubelskiego, Krakowskiego, Łódzkiego i Poznańskiego organizuje Min. W. R. i O. P.

20. MIEJSCE W BIEGU SULEJÓWEK—BELWEDER zajęła drużyna z Brodnicy.

Rok III. Nr. 4.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“

NA TROPIE

Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305.330.

Cena 50 groszy.

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

POD REDAKCJĄ MARJANA WIERZBIAŃSKIEGO

Święto Zmartwychwstania.

Od wieków co roku przeżywamy cud Zmartwychwstania, a zawsze nowem wzruszeniem napełnia nas ta tajemnica Świętej Ofiary i umocniona nadzieja życia wiecznego. To Święto Zmartwychwstania tak wielkie i krzepiące dla każdego Chrześcijanina przypada właśnie na tę porę roku, gdy życie w przyrodzie budzi się i odradza po długiej nocy zimowej. Nic dziwnego, że widok triumfu młodego życia i jego pochód zwycięski, staje się symbolem tego Święta i wzmacnia wiarę tych, co zwątpili i pojąć nie mogą, a serca wszystkie napełnia wielką ufnością.

Bo Święto Zmartwychwstania, to zwycięstwo nad niedolą śmierci, otchłanią grobu i strachem wiecznej ciemności — to zwycięstwo ducha nieznieszczalnego nad znikomą materją — to nadzieja wieczności, będąca nam pokrzepieniem w doczesnej wędrówce.

Lecz nietylko tę nadzieję musimy odnaleźć w tem Święcie, ale i tę prawdę niezmienną, że dojść do niej można tylko przez ofiarę i cierpienie, przez miłość i wyrzeczenie się — przez wyzwolenie ducha z więzów materji. Więc gdy dzwony kościelne obwieszczą nam jak co roku radosną wieść, że Chrystus, który za nas umarł, zwyciężył śmierć i zmartwychwstał, skupmy się w tej chwili uroczystej we wspólnej modlitwie, by wraz z dźwiękiem tych dzwonów dotarło do serc wszystkich pragnienie odrodzenia do nowego życia.



Z Bronowic koło Krakowa.

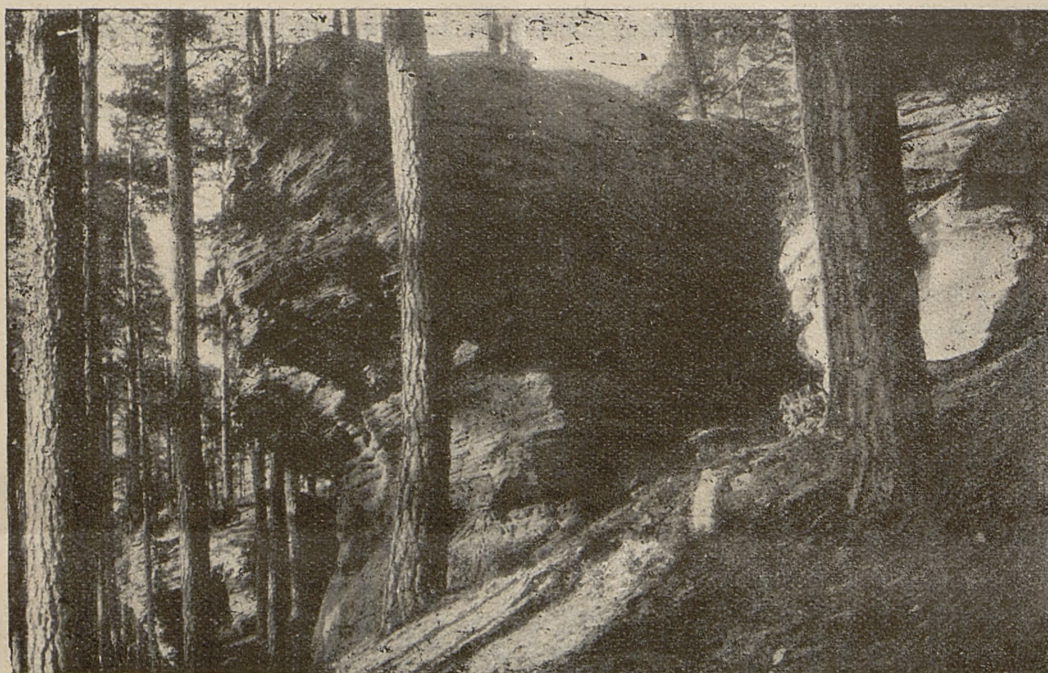
Prastare Góry Świętokrzyskie.

W województwie kieleckiem jednym z najpiękniejszych zakątków, są prastare Góry Świętokrzyskie, pokryte płaszczem puszczy jodłowej, dziś już tu i ówdzie wyszarzałym, mocno nadszarpanym, najeżone grzbietem; gruchowiskami ostrokrawędzistych kwarcytów. Drzewiej tu w ciemną noc śmigały łopaty w powietrzu i kilka wiedźm przysiadało na szczycie Łysicy na obrady, albo złotowłosy królewicz błąkał się wśród pierwotnych borów, szukając przygód, lub zaklętej królewny — a dziś to chyba tylko w bezgwiezdną noc włóczą się mierniki, wodząc trupiem, sinem światłem na mokradła zbłąkanych wędrowców lub na rozstaju dróg pod spróchniałym krzyżem wyje wilkołak.

Prastare góry, owiane tajemnicą legendy, od wieków spiętrzone ku niebiosom, bez przerwy przez długie miljony lat szarpane i trzaskane siłami wnętrza ziemi, ryte odmętem wód morza, trwają wciąż nieustępliwie. Ostre pozostałości pierwszego wypiętrzenia zostały z czasem wyokrąglone, dziś mają one formę dojrzałą, delikatnie ścieraną w dalszym ciągu wodą spływającą. Góry Świętokrzyskie sięgają od Wisły pod Sandomierzem do rzeki Pilicy na północ, ograniczone są dolinami Kamiennej i Nidy. Podzielone na dwie części rzeczką Słupianką, tworzą odmienne typy krajobrazowe, mimo że zachowują charakter wybitnie górski.

Szczyt Łysicy, stanowiący jądro gór, jest najwyższą kulminacją 613 m. n. p. m., pokryty jest złomiskiem kwarcytów. Niezalesiony tworzy dzikie gołoborza, które stąd długim pasem biegną po półn. wsch. zboczu gór i od nich to lud nazwał góry Łysemi. Na północ od głównego pasma za piękną, lecz pustą i nieurodzajną doliną Wilkowską, wznoszą się Klonowskie Góry, z okazałą puszczą jodłowo-bukową na stokach Bukowego Szczytu. U stóp ich tuli się Bodzentyn z malowniczo położonemi białemi ruinami dawnego zamku biskupiego, głucho odbijającemi się od reszty doliny. Po przeciwnej stronie doliną Łagowską, oddzielone są góry Cisowskie, prawie że dotąd nieznane stopie wędrowców, niezbadane przyrodniczo, kryją w swem wnętrzu mnóstwo zakątków świętokrzyskiego piękna.

Główny jednak grzbiet panuje nad wszystkiemi, swą masą i wyniosłością. Długi na kilkadziesiąt km., wałem skrzywionym biegnie ku połud. wsch., pokryty płaszczem pierwotnej puszczy jodłowej. Kobierzec puszczy zdala widziany, martwy pozornie, tętni życiem wewnątrz. W naturze żywiołu puszczy tkwi jej tajemnica, misterjum, które tak silnie oddziaływuje na człowieka, gdy ten zanurza się w zieloną otchłań leśną, gdy szuka ukojenia po pracy znojnej i tempie szaleńczego życia miejskiego. Szczęśliwością, spokojem napełnia się dusza, puszcza bowiem pociąga, uspakaja kiścią usrebrzonego igliwa jedli, pękiem seledynowych gałązek buka, łagodzi niepokój pulsu, daje siłę do rozpoczęcia dalszej, celowej pracy człowieka.



Ze zbiorów Państw. Rady Ochr. Przyrody. fot. E. Massalski.

Góry Świętokrzyskie. Skałki Piaskowcowe Góry Piekła pod Niekłaniem.

Puszcza posiada wiele tajemnic dla przyrodnika, zbadana zaledwie częściowo, wykazała przewspaniałą kombinację florystyczną. W tem samem paśmie znaleźć można okazy flory arktycznej, towarzyszącej cofającemu się lądolodowi, obok nich rosną przedstawiciele flory stepowej z nad morza Czarnego przybyłej, najliczniej jednak reprezentowaną jest nasza pospolita flora łąkowo-leśna. Z drzew prócz jodły i buka, pospolite są jawory, klony, paklony, wiązy, jarzębiny; z krzewów: bez czarny, koralowy, leszczyna i t. d. Pod szeroko rozpostartemi konarami drzew podłoże zasłane jest w zależności od światła i wilgoci, barwnym kobiercem kwiecia, zmieniającym się ustawicznie od wiosny do późnej jesieni.

Odpowiednią puszczy była niegdyś fauna. Obfitowały lasy w tury i żubry — łosie, niedźwiedzie, wilki i jelenie! Dziś jedynie jelenie dochowały się w lasach Cisowskich, na Jeleniowej górze. Jest prawdopodobnie kilka dzików, jesienią wychylających się poza bory. Pozatem pospolite pozostały lisy, zające, kuny, łasice i jeże. Z charakterem wysokogórskim wrażeń i widoków, otwierających się przed turystą, wędrującym grzbietem Łysogór, związany jest osobliwy klimat gór, który wykazuje znaczne odchylenie od pozostałych sąsiednich dolin, mimo, że góry wyniosłe są zaledwo nieco ponad 500 m. n. p. m. — nad doliny zaś na 200—300 m. Posiadają klimat ostrzejszy,

temperatura jest o kilka stopni niższą, zima trwa o pół miesiąca dłużej tak, że w Iwaniskach sąsiednich już orzą, a stoki gór są pokryte całunem śniegu. Posiadają zato piękną ciepłą jesień, toteż pobyt tu w tej porze jest o wiele milszy niż gdzieś w wysokich górach Karpat. Opadów, wilgoci, a z tem moczarzysk więcej na stokach półn. zach., odzwierciedla się to wyraźnie w stosunkach florystycznych. Ten przecudny zakątek natury zdobią pamiątki historyczne — kościół Św. Katarzyny, położony u stóp Łysicy — i Św. Krzyż, prastara świątynia słowiańska, dziś zamieniona na ciężkie więzienie. Z oboma zabytkami wiążą się tysiące legend, opowiadań, które usłyszeć łatwo z ust tamtejszego wieśniaka.

Puszczę Jodłową z umiłowaniem wydarł zniszczeniu i zapomnieniu Stefan Żeromski. W potężnem jego słowie, jak w złocistej żywicy zakrzepł nietylko kształt starodawny prapuszczy, lecz żyje w nim Jej życie, bije woń balsamiczna, kojąca serca znękane ciężką codzienną pracą. **St. L.**

Triumfy lotnictwa.

(W) Zapoczątkowane na kilka lat przed wielką wojną, wzrosłe w dymie krwi i pożogi wojennej, — oddaje się lotnictwo obecnie cichej, żmudnej, choć mało widocznej pracy dla ludzkości. Przewozi ludzi, przesyłki i listy z niebywają szybkością, zbliżając stolice i miasta europejskie w sposób wprost niewiarygodny. Tak np. podróż z Warszawy do Paryża najszybszym pociągiem luksusowym „Nord Express" trwa 27 i pół godziny, samolotem zaś zaledwie dziewięć godzin. Jeszcze większą przewagę ma samolot, przebywający przestrzenie dłuższe lub nadmorskie. Z Marsylji do Algieru płynie się okrętem 24 godziny, podczas gdy samolot przelatuje tę drogę w 5 godzinach.

Komunikacja lotnicza ma jednak pełną swoją wartość, jeżeli podróż jest zupełnie pewna i zawsze regularna. Dotychczas, zwłaszcza za granicą lotnictwo handlowe nie osiągnęło jeszcze absolutnego ideału, natomiast Polska, dzięki niezwykłym wprost zaletom i ofiarności naszych pilotów, może się z dumą poszczycić najlepszem pod tym względem lotnictwem cywilnem, gdyż od początku jego istnienia, t. j. od roku 1922, nie zanotowano ani jednego wypadku śmierci lub cięższego poranienia pasażerów polskich linij lotniczych. Co się zaś tyczy regularności lotów, to wynosi ona przeciętnie powyżej 98 proc. Nieraz zdarzały się miesiące, w których regularność sięgała nawet pełnej wartości 100 proc., to znaczy, że wszystkie w rozkładzie przewidziane loty były całkowicie wykonane.

Atoli na tem nie kończy się rola lotnictwa. Technicy, konstruktorzy i piloci pracują niestrudzenie nad dalszem udoskonaleniem tego środka lokomocji. Wprost uwierzyć się nie chce, że dwadzieścia lat temu cały świat czekał na wiadomość, czy lotnikowi francuskiemu Bleriotowi uda się przelot nad Kanałem La Manche, t. j. na szerokości 34 kilometrów, którą nowoczesna maszyna przebywa w 6 minutach. Fabryki i warsztaty pracują dziś w tempie zawrotnem i codzień niemal czytamy w depeszach o nowych triumfach, nowych sukcesach, nowych rekordach ptaków metalowych.

Jeszcze nie przebrzmiała wiadomość o wiekopomnym raidzie Alana Cobhama Londyn — Melbourne (Australja) na przestrzeni 23 tysięcy kilometrów na hydroplanie G. EBFO, a już wyczytaliśmy wiadomość z Ameryki, że płatowiec Fokkera, zwany „Znakiem zapytania", krążył pod niebem 150 godzin bez przerwy. W linji prostej, przeleciałaby ta maszyna 16 tysięcy kilometrów, czyli trzecią część obwodu ziemi. Motory działały świetnie przez cały tydzień, ich tętno miarowe nie osłabło, — co pewien czas tylko trzeba było metalowego ptaka karmić benzyną z innego samolotu.

Dziś loty kilkudziesięciogodzinne i loty transoceaniczne oraz do obydwu biegunów przestały już być sensacją.

Wydawałoby się, że po tylu sukcesach nieprawdopodobnych, inżynierowie i konstruktorzy mogą wreszcie założyć ręce i spocząć na laurach. Nikt jednak o tem nie myśli. Samolot dzisiejszy posiada mimo tylu udoskonaleń tę niedogodność, że może wzbić się w powietrze tylko z rozbiegu i podobnie do lądowania musi posiadać większy płaski grunt, na którym powoli traci swoją szybkość. Dlatego to Amundsen, który podczas swej słynnej wyprawy podbiegunowej znalazł się nagle na krach lodowych, — przez długie tygodnie musiał rozdrapywać śnieg rękami, aby utworzyć bieżnię, niezbędną dla nabrania rozpędu, — i dlatego też aeroplany nie mogły uratować nieszczęśliwych rozbitków z niedawnej wyprawy Nobilego do bieguna.

Konstruktor hiszpański de la Cierva pracuje od dziesięciu lat nad nowym typem maszyny fruwającej. Nad cienkim kadłubem tego płatowca wirują wielkie skrzydła, a przyrząd cały wygląda jak wiatrak, obalony na wznak. Posiada on jednak zdolność wzbijania się w powietrze i opadania pionowo, skutkiem czego może lądować, gdzie się da, na każdym terenie, na płaskim dachu jakiegoś domu, na placu w mieście, podwórzu itd. Maszyna tego rodzaju przeleciała już nad Kanałem La Manche i pewnego dnia zjawiła się nagle nad lotniskiem w Bourget, osiadając na placu jak znużony ptak.

W Anglji powstało specjalne towarzystwo aeronautyczne, które ma zrealizować śmiałe pomysły de la Ciervy.



Puszcza jodłowa w Łysogórach
(z wycieczki Kółka Rolników Uniwers. Jagiell. w Krakowie)

Góry Świętokrzyskie Parkiem Narodowym.

W myśl testamentu Stefana Żeromskiego w „Puszczy Jodłowej" wyrażonego, ogólny zjazd literatów polskich w Poznaniu powziął w r. 1929 uchwałę, iż „Rezerwaty w Puszczy Świętokrzyskiej winny być rozszerzone i połączone i puszcza cała zachowana jako Park Narodowy im. Stefana Żeromskiego".

Dziś istnieją w głównem paśmie Gór Świętokrzyskich dwa mniejsze rezerwaty, jeden na św. Katarzynie (144 ha), drugi pod św. Krzyżem (175 ha).

Obok Tatr, Pienin, Puszczy Białowieskiej i Czarnohory byłby to więc piąty Park Narodowy w Polsce.

JAK ANTEK CWANIAK ZOSTAŁ UCZONYM.

(Ciąg dalszy.)

I Antek nie omylił się. Pan Młodzianowski kazał sobie dużo opowiadać o wilczętach, o pokazach angielskich i o myślach Antka. Potem wypytał go jeszcze, kto należy do gromady wilczęcej i jakie już gry robili sobie wilczacy. Dopiero wtedy zaczął mówić do Antka i mówił tak poważnie, zupełnie jak do dorosłego człowieka, co bardzo Antkowi się podobało.

— Więc, Antku, chcesz, bym ci pomógł ułożyć przedstawienia historyczne, przyczem mówisz, że przedstawienia te muszą odpowiadać czterem warunkom: 1⁰ Muszą składać się możliwie z największej ilości gier, zabaw i ćwiczeń, które zewnętrznie wchodziłyby w skład przedstawienia, ale właściwie kształciłyby i wyrabiały charaktery, umysły i zdrowie twoich wilczaków. 2⁰ Żeby sam pokaz nie zawierał prawie słów tylko mimikę. 3⁰ Żebyście nie potrzebowali dobierać sobie żadnych kolegów ani koleżanek. 4⁰ Żeby przygotowania do pokazów zapełniły treść wszystkich waszych wilczęcych zbiórek.

— Oj, jak pan to dobrze powiedział Akurat tak powinno być.



Widok na Stożek.

— No widzisz, Antku, może się Wam jeszcze do czego przydam — uśmiechnął się pan Młodzianowski. Więc myślę, że można zrobić tak: wybierzemy z historji Polski jakieś 6—8 scen. Kolejno będziecie ćwiczyć się do każdej sceny-pokazu, a gdy przerobicie wszystkie — zrobicie wielkie przedstawienie. Na przedstawieniu będziecie musieli podzielić się na 2 partje i gdy pierwsza partja pokazywać będzie scenę numer jeden, druga partja ubierać się zacznie do sceny numer dwa. Gdy będzie pokazywana scena numer dwa, — pierwsza partja przebierze się do sceny numer trzy. Zresztą, o tem pomówimy jeszcze później, bo póki się przygotujecie do całego pokazu, to minie pół roku albo i więcej, więc będzie czas omówić.

— To dobrze, — przytaknął Cwaniak — że potrwa wszystko pół roku. Bo wtedy naprawdę już porządnie wyćwiczymy się w różnych uczonych ćwiczeniach. Ale jakie to będą te pokazy?

— Weź, Antku ołówek i zapisz sobie. Myślę, że można urządzić takie sceny. 1-sza Ludzie przedhistoryczni. 2-ga Słowianie pogańscy. 3-cia Jak Polska powstała. 4-ta Grunwald. 5-ta Złoty wiek. 6-ta Potop. 7-ma Niewola. 8ma Odrodzenie.

— Ojej — skrzywił się Cwaniak — tego już zupełnie nie rozumiem. Z początku pan mówił dobrze i ciekawie, a teraz to widzę, że znów szykują się nudy. Te różne sceny tak się mądrze nazywają, że już odrazu powiem, że wilczacy mi się porozbiegają i nie zechcą przychodzić na zbiórki.

Pan Młodzianowski uśmiechnął się. Widocznie cała ta rozmowa z Cwańkiewiczem zaciekawiała go coraz bardziej, gdyż przysunął swe krzesełko bliżej do krzesła Antkowego, pochylił się w kierunku chłopca i zaczął mówić.

— Te nudne tytuły są tylko dla mnie. Wilczacy pokazy ujrzą zupełnie inaczej. Zobaczysz Antku, że im się to będzie podobać, bo będą mieli takie gry, awantury i ćwiczenia, jakich jeszcze żadni chłopcy nie mieli. Będziecie musieli odważnie spenetrować wszystkie jaskinie i podziemne lochy w mieście i okolicy, polować będziecie na mamuty i niedźwiedzie, trzeba będzie zacząć samym lepić garnki z gliny, budować mieszkania na drzewach, pływać jak ryby. Nauczycie się łapać raki i zbierać różne jagody, będziecie musieli sami pracować na roli, sadzić i siać różne rośliny, i wypisywać tajemnicze dokumenty i walczyć „konno" i pieszo. Albo bitwy na miecze, tak jak walczyli dawniej rycerze, nie są ciekawe? I w czarowników różnych też trzeba będzie zagrać straszne gry, z drzewa musicie porobić różne bałwany i sami rozpalać ogniska, a nawet gotować na nich jedzenia. A jakie trzeba będzie porobić sobie stroje — fiu, fiu — zobaczysz dopiero! Więc co, czy będzie to nudne.

Cwaniak aż wstał ze wzruszenia. Oczy mu błyszczały, bo widział już w duszy gromadkę swą budującą straszne lochy podziemne w kościele lub płynącą łodzią na jeziorze. Nogi same chciały skakać, ale wódz wilczków wiedział, że trzeba się hamować, bo ten pan pomyśli jeszcze, że Antek jest warjat, albo nawet smarkacz.

— Tylko ty, Antku, będziesz miał roboty moc, bo ciągle będziesz musiał naradzać się ze mną i nawet czytać różne rzeczy.

— To wszystko frajer, psze pana — odpowiedział prędko. Roboty się nie boję i czytania też, bo to bardzo lubię. A ciotka mi zawsze gada, że kto nie ma w głowie, to mu potem będzie ciężej, jak pójdzie do fabryki albo do kopalni. I ja nawet chcę być uczonym, a jak zacznę z panem przestawać i uczone książki czytać, to oko zbieleje chłopakom od mojej mądrości. A najważniejsze, że pan nam chce pomagać, więc już wszystko będzie dobrze i jak złapiemy pierwszego raka, to odrazu damy go panu niby to na wdzięczność. Albo nawet coś innego zrobimy panu.

— No, no, zobaczymy jak tam będzie. Ale czy nie ucierpią na tych awanturach twoje lekcje szkolne?

— Iii... Co tam lekcje! Ja nie taki głupi, żeby wpaść. Jak jestem wódz, to muszę być wszędzie pierwszy, nawet w szkole w lekcjach, boby mnie inaczej wilczki nie słuchali. Co tam lekcje. Odrazu każdego dnia je zrobię, gdy tylko zjem obiad, potem pomogę ciotce w porządkach i gospodarstwie — i jestem na wolności!

Długo jeszcze układali — pan nauczyciel i Antek — różne plany, długo pisali coś, szeptali, śmieli się i rysowali, a gdy wreszcie Antek, z kilkoma książkami historycznemi pod pachą, szedł do drzwi, pan Młodzianowski serdecznie potrząsnął na pożegnanie jego małą ręką, zaś po wyjściu chłopca, szybko wrócił do pokoju, obrócił się parę razy na pięcie i, podskoczywszy parę razy w mazurowym takcie, roześmiał się głośno i szczerze:

— La, la, la! Zabawię się z chłopcami!!

Tak krzyknął, tak śmiał się i tak podskakiwał ważny pan nauczyciel po wyjściu młodego gościa. Takim bowiem był pan Młodzianowski.

HELENA ZAKRZEWSKA.

KIEDY BABCIA BYŁA MAŁA.

ROZDZIAŁ IV.

Przed gankiem wrzała gorączkowa praca. Mali chłopcy stajenni grabiami i grabiami oczyszczali aleję wjazdową z porastających ją chwastów i suchych liści, nagromadzonych przez zimę. Ogrodnik okopywał równiutko brzeg ogromnego gazonu, który już zaczął gdzieniegdzie zielenić się młodziutką zielenią. Od ziemi ciągnął jeszcze surowy chłód, ale słońce grzało już wcale mocno. Babcia z siostrzyczkami brały żywy udział w pracy. Jedna grabiła gazon, druga uwijała się z miotłą, a trzecia pod dozorem ogrodnika strzygła wielkiemi nożycami klomb jaśminu na środku gazonu.

Tymczasem we dworze robiono już przygotowania do pieczenia ciast na Święta. Właśnie rozpoczął się Wielki tydzień. Stara babunia i mamusia, w białych czepeczkach i fartuszkach, krzątały się żywo między kuchnią a spiżarnią, dozorując dziewcząt dworskich, które znosiły do kuchni spiczaste głowy cukru, worki z mąką, torby z makiem, migdałami i rodzynkami i mnóstwo innych przewybornych rzeczy.

I właśnie, kiedy wszyscy najwięcej byli zajęci, przyszedł posłaniec z telegramem. Telegram rzadkiem we dworze bywał zjawiskiem. Dziewczynki z trudem odszukały ojca na folwarku i doręczyły mu telegram.

Ojciec szybko przebiegł oczyma treść telegramu, zmienił się na twarzy i zaczął oglądać doręczony mu blankiet na wszystkie strony, jakby spodziewał się znaleźć w nim rozwikłanie jakiejś zagadki. Wreszcie poskrobał się w głowę z wyrazem wielce zatroskanym i szybko poszedł do dworu. Dziewczynki, mocno zaciekawione, pobiegły za nim.

Ojciec znalazł mamusię w kuchni nad dzieżą, pełną mąki, do której właśnie wlewano rozpuszczone drożdże. Mamusia miała koniec nosa i lewy policzek pobielone mąką i wyglądała bardzo komicznie. Z niechęcią powitała wtargnięcie mężczyzny do swego niewieściego królestwa, ale spojrzawszy na telegram, chwyciła go szybko z wyrazem przerażenia.

Telegram brzmiał tak:

— „Siostra zmarła w Taszkencie, dziecko odesłane przez konsula wysyłam dziś koleją, przyjazd czwarta dwadzieścia Olszówek **Stobiecki.“**

Mamusia z przestrachem spojrzała na ojca. Pan Stobiecki był długoletnim przyjacielem całej rodziny i prowadził w mieście powiatowem bardzo cenioną kancelarję adwokacką. Lecz kim była owa „siostra“ i „dziecko.“? Tego dziewczynki nie wiedziały. Patrzyły więc z ciekawością na rodziców, którzy zdawali się być bardzo zasmuceni i stroskani.

— Ale cóż to się stało? — rzekła wreszcie mamusia.

— No, nie wiem, nic nie wiem! Nie miałem przecież od niej ani słówka wiadomości od owego czasu! — rzekł ojciec z widocznem zdenerwowaniem. Ach! — Więc było i dziecko! Biedne maleństwo! Przecieć to już po drugiej, trzeba natychmiast wysłać konie, bo inaczej nie zdążą na pociąg! — zaniepokoiła się mamusia.

— Doprawdy, nie wiem co zrobić! — biadał ojciec. — Konie robocze wszystkie w polu, chyba cugowe założyć każę. Ale kto po to dziecko pojedzie? Chyba tylko Boczkosia!

— Cóż znowu! Ona jest mi niezbędnie potrzebna. Może raczej babunię uproszę... Pogoda ładna, droga teraz nienajgorsza, może babunia zechce się poświęcić!

— Ależ naturalnie, moja droga! — rzekła babunia, która nadeszła właśnie z koszykiem, pełnym złocistych pomarańcz. Zaraz pójdę się ubierać!

— I my! i my! — krzyknęły jednym głosem wszystkie trzy dziewczynki.

— Cóż znowu! — zaprotestowała matka.

— Pozwól im, niech pojadą — wstawił się za dziewczynkami ojciec. — W powozie miejsca dosyć, a mamie będzie weselej w towarzystwie dzieci. Dzień dziś do jazdy cudowny. Zaraz każę zaprzęgać!

I tak stało się, że w pół godziny po tej rozmowie trzy dziewczynki w ładnych, granatowych płaszczykach, z białemi krezkami na szyjkach siedziały rozpromienione przy boku babuni w powozie, który szybko toczył się po białym gościńcu.

— Babuniu, kto to jest ta siostra i to dziecko? — zadała pytanie Marylka.

— Ach, to długa historja — westchnęła babunia. — Ojciec wasz miał siostrę jedyną, bardzo ukochaną. Ta siostra wyszła zamąż, wbrew woli rodziny, za oficera rosyjskiego i wyjechała z nim do Rosji. Od tej pory wszelki ślad po niej zaginął, aż dzisiaj... Mój Boże! dziwne są wyroki Opatrzności! — i dobra babunia zaczęła odmawiać różaniec, który przezornie zabrała z sobą na drogę.

Trzeba wam wiedzieć moje dzieci, że przed czterdziestu laty małżeństwo Polki z Rosjaninem było uważane za zdradę Ojczyzny. Nie było w tem nic dziwnego. Moskale w sposób okrutny pastwili się nad Polską. Setki najszlachetniejszych Polaków ginęło marnie w dalekich śniegach Sybiru, setki zalegały więzienia, w których nie szczędzono im najwyszukańszych męczarni. Oficerowie rosyjscy, przebywający w Polsce, należeli do najgorszych siepaczy, a młoda dziewczyna, poślubiająca dobrowolnie Moskala, musiała zgóry być przygotowaną na zupełne zerwanie z rodziną.

Kiedy powóz zajechał przed stację, nie było już ani śladu pociągu.

— O! Pani Dobrodziejka się spóźniła! — zawołał zdaleka naczelnik stacji, spiesząc na powitanie babuni.

— Mój Boże, jak to źle się stało! A nie wysiadł tu nikt? Ktoś z dzieckiem? Nie zauważył Pan nikogo?

— Nie, nie zauważyłem nikogo z wyjątkiem tej dziewczyniny, co tu na kogoś czeka — rzekł naczelnik.

Babunia i dziewczynki spojrzały we wskazanym kierunku. Na kupie kamieni, przygotowanych do szutrowania zajazdu, siedziała dziewczynka lat około dwunastu. Była dosyć duża, ale przerażająco chuda. Jej blada, nalana twarz pełna była piegów. Bardzo jasne włosy, splecione w twardy warkoczyk, zdawały się wypełzłe i martwe, podobnie jak oczy, jasne w kolorze, ale na pozór zupełnie pozbawione wyrazu. Miała na sobie szczątki szarej i bardzo już zniszczonej sukienki, którą starała się zakryć podartą, czarną chustkę.

Babunia przez długą chwilę badawczo przyglądała się dziewczynce. Niepewność i wahanie malowały się na jej twarzy. Wreszcie zawołała:

— Dziewczynko, chodźno tu do mnie!

Mała podniosła się ociężale i nieufnie zbliżyła się do powozu.

— Na kogo tu czekasz?

Zamiast odpowiedzi dziewczynka podała kartkę, zwiniętą w dłoni w zabrudzony rulonik. Na kartce widniały słowa.

— Brońcia Wereszczagin, sierotka jedzie do krewnych swych państwa Zaleskich do Zalesia. Ostatnia stacja Olszówek.

— Mój Boże, to ty, moje biedactwo! — wykrzyknęła babunia, otwierając drzwiczki powozu. — Chodźże tu duszko, niech cię uściskam. A to twoje siostry, Marylka, Hania i Janeczka. Dzieci, uściskajcie Brońcię i zróbcie jej miejsce. Mówisz chyba po polsku, prawda?

Dziewczynka skinęła ponuro głową. Twarz jej w tej chwili była zacięta i niemal wroga. Uchyliła się od uścisków dziewczynek i tylko jakby od niechcenia musnęła zimnemi wargami dobrą, pomarszczoną dłoń babuni.

— Siadajże, kochanie! Nie jesteś ty głodna? — pytała babunia, sadowiąc ją przy sobie.

Brońcia pokręciła przecząco głową. Siedziała obok babuni sztywna, z wpółprzymkniętemi oczami, taka zimna i odpychająca, że dziewczynki nie śmiały się do niej odezwać. Powóz potoczył się szybko w powrotną stronę. Wszystkie usiłowania babuni, żeby Brońcię wciągnąć do rozmowy, spełzły na niczem. Wkońcu więc babunia dała jej spokój i powróciła do swego różańca. Dziewczynki milcząc obserwowały dziwnego gościa, — a Brońcia siedziała sztywna i nieczuła na otoczenie, tylko chwilami wstrząsała się nieuchwytnym dreszczem i naciągała sobie chustkę na chude ramiona, jakby się cała w niej ukryć chciała.

Niekiedy spojrzenie jej obejmowało przelotem trzy ładne i strojne dziewczynki, przytulone do siebie na przedniem siedzeniu, a wtedy oczy jej stawały się jeszcze bardziej ponure, a chude ramionka jeszcze mocniej wtulały się w podartą chuścinę.

W głębokiem milczeniu dojechano do domu. Na odgłos turkotu rodzice wybiegli spiesznie na ganek. Pilno im było zobaczyć „dziecko". Ojciec przygotowywał pewnie dla niego najczulszy uścisk — a dobre serce mamusi rozpływało się z żalu nad sierotką. Oboje jednak zdziwili się niezmiernie, kiedy stanęła przed nimi ta duża, brzydka dziewczynka z wyrazem zaciętym i nieprzychylnym. Ramiona, przygotowane do uścisków, opadły.

Wiosną...

— Brońciu, przywitaj się z wujem! — rzekła łagodnie babunia.

Brońcia spojrzała palącemi oczami w twarz schylającego się ku niej wuja.

— Ty byłeś jej bratem? — spytała szorstkim, ochrypłym głosem.

Dziewczynki struchlały. Co za zuchwalstwo! Jak śmiała odzywać się tak poufale i bez cienia szacunku do tatusia? Ale ojciec zdawał się nie zważać na to. Na jego twarzy wybiła się męka, policzki zakwitły plamami rumieńców.

— Tak, dziecino, — ja byłem jej jedynym bratem. Co się stało? Powiedz!

Bronka nie odrywała oczu od jego oczu.

— Umarła... z głodu! — rzekła cichym, przejmującym szeptem.

Ojciec usiadł na ławce, kryjąc twarz w dłoniach. Babunia i mamusia rozpłakały się mimowoli. Bronka z niechęcią spojrzała na nie i zapytała znów szorstko swoim niemiłym, ochrypłym głosem:

— Czy będę miała jakiś swój kącik w tym domu?

— Dzieci, zaprowadźcie Brońcię do waszego pokoju — rzekła mamusia.

Dziewczynki w milczeniu poszły do swej sypialni. Był to obszerny, jasny pokój, w którym z łatwością znalazło się miejsce na czwarte łóżko. Nęcące świeżą pościelą, osłonięte zacisznym parawanem, było rzeczywiście uroczym „kącikiem" dla małej, strudzonej tułaczki. Bronka usiadła na łóżku i tępo zapatrzyła się przed siebie. Dziewczynki przyglądały jej się w milczeniu.

— Czego stoicie tu nademną? — zerwała się nagle z łóżka, tupiąc gniewnie nogą. Zostawcie mnie w spokoju! Ot, człowieka nie widziały!!

Dziewczynki, przerażone tym wybuchem, wybiegły z pokoju. Wtedy Bronka rzuciła się na łóżko i zaczęła drżeć cała w cichym, prawie niedosłyszalnym, ale rozrywającym serce płaczu.

Kiedy babunia przyszła zawołać ją na podwieczorek, — Bronka spała twardo, zwinięta w kłębek, w nogach łóżka, z ustami otwartemi i oczami zapuchniętemi od płaczu. Babunia postała, pokiwała głową i cichutko wysunęła się z pokoju.

Następne dni nie przyniosły nic dobrego. Bronka wykąpana i wyszorowana do białości, ubrana w bieliznę i sukienki Marylki, które były na nią za ciasne, okazała się brzydkiem i bardzo niesympatycznem stworzonkiem. Ponura i zachmurzona, zdawała się z nienawiścią patrzeć na wszystko, co ją otaczało. Odzywała się bardzo rzadko, ale słowa jej spadały zawsze jak piorun w cichą pogodę harmonijnego życia i zatruwały wszystkim humor. Z jej skąpych wzmianek można było domyślać się, że ojciec jej, hulaka i utracjusz, zginął gdzieś marnie i że obie z matką na dalekim wschodzie Rosji, strasznie cierpiały nędzę, aż stał się ten wypadek, który osamotnione dziecko przywiódł do kraju matki. O śmierci jej Bronka wogóle mówić nie chciała. Kiedy ją o to pytano, zacinała się w upartem milczeniu. Nie pominęła jednak żadnej sposobności, żeby nie zrobić jakiegoś porównania:

— Pięknie tu u was, czysto, biało... My z maminką w czarnej norze mieszkały, cuchnącej! I robactwo nas żywcem żarło! Uch!

Albo:

— Ojoj, co tu u was jadła! Nam starczyłoby to na pół roku, co wy naraz na stół dajecie.

Raz babcia zapytała Bronki, czy lubi wieś. Bronka bez namysłu odparła:

—Nienawidzę wsi!

— Czemu? — spytała babcia z żalem, biorąc ją za rękę.

Bronka milczała chwilkę, potem rzekła zdławionym szeptem.

— Bo maminka za nią wypłakała oczy. Ej, żeby ona tu ze mną była! — i naraz oparła czoło o ścianę i zaniosła się znowu tym cichym okropnym szlochem, którego człowiek nie jest w stanie słuchać bez wstrząsu.

Babcia rozpłakała się także. Czuła ona dobrze, że w duszy Bronki wre rozpacz, że rozgrywa się w niej jakaś okropna walka. Z całego serca zapragnęła ulżyć jej w tej męce. Ale jak? Bronka była taka twarda, taka nieprzystępna....

(Ciąg dalszy na str. 13.)

Wyprawa „biszkopta" na wycieczkę.

(Obrazek sceniczny z życia harcerskiego, odegrany przez IX. Łódzką Żeńską Druż. Harc. im. Baśki Wołodyjowskiej na zabawie dla dzieci dnia 6 stycznia 1929 r.)

OSOBY:

Babcia, mama, ciocia starsza, ciocia młodsza, służąca Kasia, Jaś-biszkopt, Rafałek, zastępowy, harcerze.

AKT I.

(Scena przedstawia pokój. Wokoło stołu siedzą: babcia robiąca pończochy, mama i ciocie, z których jedna czyta, a druga pije jakieś ziółka.) Wpada uradowany Jaś.

Jaś:

Idę dzisiaj na wycieczkę
Z druhami w pobliskie lasy,
Więc poproszę o zapasy
Ukochaną mą mateczkę!..

Wszystkie panie (przerażone):
Na wycieczkę! Boże wielki!...

Jaś:

Poproszę o dwa serdelki,
Ze dwie bułki na dokładkę...

Mama (tragicznie):
Znów zaczynasz martwić matkę,
Spójrz na niebo burza będzie,
Czarne chmury się zbierają...

Jaś:

Nie mamusiu ślicznie wszędzie,
Nawet ptaszki dziś śpiewają!
Pójdę mamo z harcerzami!

Ciocia I:

Ah, bo z temi biszkoptami —
Pozwólże mu, niech już leci!

Babcia:

Takie są teraz dzieci —
Dawniej były inne czasy!

Mama (godząc się z losem):
Kasiu, szykuj dla Janeczka
Kilo szynki i kiełbasy.
Gdzie jest jego nowa teczka?!

Kasia (zdumiona, ze szczotką w ręce):
O lo Boga, toć nas panie
Ciągiem lata ze skautami,
Dyć trzewiki zedrze na nic!

Jaś:

Tylko prędzej, proszę mamy,
Bo o 1-ej wyruszamy.
Niech się Kasia szybciej rusza!

Kasia:

A dyć rucham się panicu,
Aż się trzęsie we mnie dusa

(Wszyscy się krzątają i pakują przysmaki dla Jasia).

Mama:

Bułeczki już spakowane.
Mleko, jajka, chleb z wędliną,
Janeczku, dziecko kochane,
Czego jeszcze chcesz dziecino?!

Ciocia:

Masz tu jeszcze 2 kotlety
I konfitur pół słoika,
Czekolady dwie tablety
I świeżego część piernika.

Mama:

A tu masz kawałek sera
Placek, ryby i jabłuszka

Babcia:

Weź pigułki na ból brzuszka.
Zawsze się przydadzą w drodze...

Mama:

Żebyś tylko nie był głodny,
Deser włożę w ten dzbaneczek.
Kompot już jest dosyć chłodny,
Niech na drogę zje Janeczek.

Jaś (przerażony):
Ah! już dosyć tych słodyczy
Zastępowy mnie wykrzyczy!

Babcia:

Lecz piernika nie odmówisz,
Nie zaszkodzi ten kawałek

Jaś (wyglądający przez okno):
O, już idzie druh Rafałek,
Kasiu palto i czapeczkę!

Mama (troskliwie):
Weź wełnianą koszuleczkę
Sweter, szalik i kalosze.

Ciocia (tak samo):
Weźże getry, weźże proszę.

Mama (jak wyżej):
Palto — to na watalinie
Podaj-że mu prędzej Kasiu!

Kasia (podając rzeczy):
Jesce nom gdzie panic zginie!
(Słychać pukanie do drzwi).

Wszyscy:

Proszę.

(Wchodzi Rafałek ubrany po skautowemu, z plecakiem na plecach. Kłania się dziarsko paniom).

Rafałek:

Dzień dobry!
A czuwaj! Jasiu,
Coś ty jeszcze nie gotowy?
Cóżeś tak się pootulał —
Nie widać ci prawie głowy!

Wszystkie panie:

O inaczej — w żadnym razie —
Wszak zaziębić się możecie!

Rafałek (zdziwiony):
Trzeba tak się ubrać przecie,
Jak podano nam w rozkazie.

Ciotka II:

No ciekawam.

Rafał (wyciąga rozkaz z kieszonki i wylicza):
Na wycieczkę pod Kamionki
Mamy zabrać trochę kaszki,
2 kartofle, ćwierć wędzonki,
Trochę cukru do menażki.

Wszystkie panie:

Coo!...

Jaś:

Tak, tak właśnie
Tak, jak mówi druh Rafałek

Rafałek (wylicza dalej):
Łut herbaty, 5 zapałek,
Ubrać się lekko, wygodnie,
Tak jak zwykle harcerz chodzi —
Zwykła bluzka, krótkie spodnie.

Jaś (z przekonaniem):
Ciężki ubiór w marszu szkodzi.

Mama (zdumiona):
I to wszystko, bój się Boga!
Bez kaloszy i szalika..

Rafałek:

Zato jeszcze kij na wroga.

Ciocia I:

Cóżto za zabawa dzika
Chodzić z kijem bez paltota —
Tak się bawić jak hołota!

Rafałek:

Przepraszam szanowne panie.
Czy nas mają nosić nianie?!...

Jaś:

Nie wiecie, jak to przyjemnie!

Ciocia I:

Dziecko nerwy targasz we mnie.

Rafałek:

Lecz już późno
(trącając biszkopta)
Prędzej Jasiu!

Mama:

Ale synek palto bierze,
Podajże mu rzeczy Kasiu!

Kasia (patrząc na stos paczek pakunków i pakuneczków):
Panie tego nie uniesie
Rzeknę pani całkiem szczerze.

Babcia:

No to poślij z nim dziewczynę.

Mama:

Ja go także odprowadzę,
Wezmę tylko pelerynę.

Babcia:

Salopkę Ci włożyć radzę.
(Wreszcie zabierają się do wyjścia)

Ciocia I:

Wszystko wzięte co potrzeba,
A parasol?...

Ciotka II:

Stoi w rogu.

Mama:

Daj go Ewo.

Babcia:

Nie przewróćcie się na progu,
(ciszej kreśląc krzyż w powietrzu)
Niech was strzeże wola nieba.

AKT DRUGI:

(Scena przedstawia plac lub łąkę, las, ogród... cokolwiek).
Zastępowy, harcerze.

Zastępowy:

Baczność! Szybko zbiórka w rzędzie,
Równaj, odlicz, kto brakuje!

Głos I:

Brak Rafałka (po chwili)
Lecz ten będzie.

Głos II:

Jasia... pewno jeszcze się pakuje,

Głosy:

O! O! idą, jak się spieszą!
Przodem Rafał, jakieś panie...

Zastępowy:

Ah i to ma być zebraniu,
Niekarnością wszyscy grzeszą,
Za minutę wyruszamy . . .

Rafał (na baczność):

Spóźniliśmy się dla tego bo...

Zastępowy:

O tem potem, do szeregu!

Mama:

10 minut — cóż to z tego?
Ah! zmęczyłam się w tym biegu.

Zastępowy:

W prawo zwrot zastęp rów...

Mama:

Kawalerze stój, zaczekaj chwilę.

Zastępowy:

Proszę?...

Mama:

Miejcie go pod swoim okiem!

Zastępowy (żdziwiony):

Kogo Janka?

Mama:

Tak Janeczka,
Aby wam nie zginął w drodze...

Zastępowy (śmiejąc się):

Niema strachu,
Bo wycieczka zaradności uczy właśnie.



Kasia:

Pieron w niego ta nie trzaśnie.

Mama:

Pa! Janeczku drogie dziecię,
(ściska go i całuje)
Do widzenia chłopcy.
(odchodzą z Kasią).

Zastępowy
(do Jasia popłakującego):

Coś ty z siebie zrobił Janku —
Jakąś malowaną lalę?
Takie sceny bezustanku,
Ja ci tego nie pochwalę..
(wskazując na paczki)
A te graty?!... Bój się Boga,
Ludek!... Pomóż mu nieść rzeczy,
Długa jest przed nami droga,
Nie zdążymy dojść do lasu,
Straciliśmy tyle czasu.
(do Jasia)
A ten warjat jeszcze beczy...
(łagodniej)
No, no cicho, uszy w górę,
Bo początki straszne zawsze,
Przejdą pierwsze dni ponure,
Ciocie staną się łaskawsze
(klepiąc go po ramieniu)
I na przyszły raz chłopaczek,
Napewno — nieodwołalnie —
Przyjdzie bez palta, bez paczek,
Ale zato punktualnie,
Prawda?!...

Wszyscy:

Brawo

Zastępowy:

No w prawo zwrot —
Z lewej nogi ze śpiewem zastęp marsz!
(Wszyscy wychodzą śpiewając):
Ciężko skautom żyć mój Boże,
Prześladuje ich kto może
To bida, to bida, oj, to! to! to!
To bida, to bida, niedola!

KONIEC.

Jamboree w Barcelonie.

Jeszcze mi w oczach stoi nasza bynajmniej nie fatalna trzynastka roześmianych gęb, stukot kół, czy warkot motorów autobusowych, migające się tunele, skwar słońca, pałace i kościoły hiszpańskie, wszystko to oglądane w błyskawicznym tempie w sierpniu roku zeszłego. Widzę jeszcze nieogoloną twarz Władka Ludwiga, wygłaszającego nam długie mowy, że nie samem mięsem człowiek żyje, widzę naszego benjaminka, Wojtka Dłużewskiego, dopominającego się wszędzie zeschniętym z upału głosem o wodę, widzę długą fizjonomję Janka Wróblewskiego tłómaczącego coś naszym towarzyszom wycieczek do Toledo i Eskorjalu, kochanym tubylcom z Madrytu, nie rozumiejącym żadnego języka poza hiszpańskim, widzę boleśnie uśmiechniętą twarz „redaktora" Dziekońskiego, dziś prezesa Klubu Eksploradorów w Warszawie, widzę całą resztę naszej przemiłej bandy włóczącej się po Europie.

Użyłem obcego słowa, muszę go wyjaśnić. Explorador jest to hiszpańska nazwa skauta, a Klub Exploradorów w Warszawie jest to zorganizowana nasza paczka, nas, którzyśmy byli w Barcelonie delegacją Harcerstwa Polskiego.

Otóż exploradorowie hiszpańscy urządzili na terenie Wystawy w Barcelonie i w czasie jej trwania swój pierwszy zlot skautowy, na który zaprosili delegacje innych państw. Byli tam zatem poza Polakami: Anglicy, Francuzi (Eclaireurs de France), Chilijczycy, Węgrzy, Niemcy i paru delegatów innych państw, jak zdaje się Holandja, Portugalja i inne.

Do szczegółowego opisu obozu przystąpię później, narazie zaznaczę tylko, że polska delegacja pod komendą dha Ludwiga obrała sobie marszrutę i rozkład czasu taki, by przy tem jak najwięcej zwiedzić. Droga wypadła nam po zlocie międzynarodowym w Birkenhead, przez Paryż, Madryt, po zwiedzeniu Toledo i Eskorjalu do Barcelony, tam wypadł nam pobyt 8-dniowy, poczem pożegnaliśmy Hiszpanję, przejeżdżając bez zatrzymania Riwierę francuską i włoską do Medjolanu. Po jednodniowym pobycie pojechaliśmy do Wenecji, stamtąd do Wiednia i powrót do Warszawy.

Pożegnaliśmy naszą delegację jamborową w Londynie 17-go sierpnia, podczas ulewnego deszczu. Kiedy statek się oddalił, poczuliśmy się samotni trochę. Nazajutrz kolej przyszła

na nas. W wagonie było już raźno, nakręciliśmy gramofon za grube funty nabyty przez Ludwiga i w parę minut rozruszaliśmy cały wagon. Wsadzono nas przez omyłkę do 1-ej a nie do 3-ej klasy (w Anglji jest tylko pierwsza i trzecia), towarzystwo było międzynarodowe. Zajęło się ono zaraz nami, patrząc z ciekawością na nasze kolorowe pasy, rogatywki. Janek Wróblewski wpadł w ożywioną konwersację z jakiemś pięcioletniem maleństwem (nikt nikogo nie rozumiał) i tak zbiegła nam godzina jazdy. Ulokowaliśmy się na statku na pokładzie, na leżakach, pozawijani w koce, śpiąc tak do rana. Osławiony Kanał La Manche nie okazał się groźnym, a trzynastka nie okazała się fatalną. O 7-ej rano przybiliśmy do portu w Dunkierce. Flandrja — to jednak kraj, zupełnie od Anglji odmienny, znać było, żeśmy się znaleźli na kontynencie, niestety to zetknięcie z Francją nie było tak przyjemne, jak mogliśmy się spodziewać po naszej sojuszniczce. Ścisk w wagonach, czystość pod znakiem zapytania, egoizm i opryskliwość współpasażerów rozczarował nas zupełnie. W południe stanęliśmy w Paryżu, ale na krótko, bo nazajutrz wieczorem trzeba było jechać do Hiszpanji. Cały półtoradniowy pobyt przeszedł nam na bardzo pobieżnem zwiedzaniu miasta w tempie dość szybkiem.

Drugiego dnia wieczorem znaleźliśmy się na wspaniałym dworcu Quai d'Orsay żegnani przez druha Kamińskiego i Rudnickiego. Pierwszy raz jechaliśmy zelektryfikowaną koleją, robiąc porównania na korzyść tej ostatniej, sypiąc tylko zgryźliwe uwagi na temat czystości francuskich wagonów.

Ranek zastał nas w Dax. Kraj już pagórkowaty, zbliżaliśmy się do Pireneji. Minęliśmy Bayonne, zatrzymaliśmy się chwilę w Biarritz i pociąg zaczął się zsuwać szybko nadół do ostatniej stacji francuskiej — Hendaye. W korytarzu udzielał nam ostatnich błogosławieństw jakiś sympatyczny starszy pan z bródką:

— Panowie nie znają hiszpańskiego? To źle, na granicy w Irm jeszcze może państwa zrozumieją, potem będzie gorzej. O już Hendaye. Żegnam panów.

Pociąg się zatrzymał. Wsiadł gruby jegomość z miną buldoga, spojrzał na nas złym wzrokiem, sprawdził wizy i wyszedł. Pożegnanie z Francją.

Pociąg ruszył wolno — wszystkie głowy wychyliły się przez okna, by zobaczyć tę nieznanę Hiszpanję. Przejeżdżamy most, widzimy w budce strażnika śpiącego smacznie, wjeżdżamy w głęboki wykop, ostatni zakręt, parę zwrotnic, zgrzyt hamulców: Irm.

Irm okazał się miastem zupełnie odrębnem od dotychczas widzianych; nie powiem że był piękniejszy ale znać było, że jesteśmy w kraju innym, mającym sławę niedostępności; wszyscy wiedzą, że Hiszpanja jest krajem zabitym od świata deskami.

Najpierw wrażenia na dworcu. Dworce wszystkich państw europejskich są mniej więcej podobne, ale na odrębność Hiszpanji wskazuje już inny rozmiar toru kolejowego. Tor jest szerszy, zbliżony do rosyjskiego i wskutek tego pociągi francuskie dochodzą tylko do Irunu, a hiszpańskie do Hendaye i to dzięki temu, że na odcinku granicznym położone są tory obydwu szerokości: normalnej europejskiej i hiszpańskiej.

Pokazaliśmy żandarmowi o twarzy oliwkowej nasze paszporty i przyjrzeliśmy mu się, podczas gdy on przy pomocy swego kolegi sprawdzał wizy. Miał mundur zielony, na głowie ceratowy kapelusz stosowany — napoleoński, minę znudzoną i nie bardzo energiczną, jak na funkcjonarjusza Primo de Rivery. Wyszliśmy przed stację. Żar spiekoty wymiótł wszystkich ludzi do domów. Ostre kontrasty jasnych murów odcinały się od cieni, w powietrzu czuć było rozleniwienie upału. Przed dworcem leżało kilku niewiadomego wyglądu mężczyzn, przyglądając nam się ospale. Zbliżył się jakiś dorożkarz i zaproponował wycieczkę do San Sebastian za 20 peset.

Spojrzeliśmy po sobie i na jego powóz. Przedstawiał się dość elegancko, miał zamiast budy baldachim z płótna, chroniący od słońca. Zbierała się nam nawet ochota do wycieczki, ale było to za drogo, zresztą o 4-ej miał ruszyć pociąg do Madrytu, a mamy jeszcze obejrzeć jakieś miasteczko starożytne w pobliżu.

Tymczasem nadbiega Janek Wróblewski, który prowadził cenne poszukiwania w kierunku restauracji dworcowej. Okazało się, że jegomość z bródką w wagonie miał rację. — Francuszczyzna tu nic nie pomaga i tylko dzięki obrotności lingwistycznej naszego Janka zdobyliśmy garść wiadomości. Obiad kosztuje 5 pes. (około 6 zł.) i to dla nas specjalnie niska cena. Odrzuciliśmy propozycję jako zbyt wysoką, odrzuciliśmy także namowy jakiegoś jegomościa, który proponował nam obiad za 2 pesety, bo wygląd restauracji był taki, że pasowała do niej nazwa raczej nory, niż restauracji.

(C. d. n.)

O I. żeńskiej Drużynie im. Królowej Jadwigi w Krakowie wieści kilka.

Z wiosną w tym roku dobiega drużyna nasza lat jedenastu i to lat pełnej nieprzerwanej, wytężonej pracy. Może niezawsze była ona jednakowo dobra, może były czasy pewnego obniżenia poziomu, ale pracy nie przerwałyśmy, a nabyty już raz pęd i wieloletnia tradycja pozwala na przetrwanie cięższych chwil.

Co teraz robimy? Pracujemy pod kierunkiem naszej drużynowej dhny Janiny Laszczkówny. Jest nas dużo i poziom wieku i wiadomości jest różny. Najstarsze „koło" dwudziestki — najmłodsze zaczynają się od dziesiątki. Cztery zastępy prowadzą pracę na poziomie stopni od ochotniczki do samarytanki włącznie, — pozatem czytają książki odpowiednie do wieku i zainteresowania dziewcząt. Zastęp piąty przygotowuje się do objęcia pracy w drużynie „zuchowej" — kilka harcerek było też na kursie „zuchowym" w Zwardoniu — a teraz pracuje dalej, zdobywając wiadomości zarówno techniczne, jak i pedagogiczne.

„Przemysł" zastępów kwitnie. Barwnie obrabiane kołnierzyki, sznurki do gwizdów, albumiki, kasetki, sprzedaje się w własnym kramiku, do którego dostarczają też wyrobów inne drużyny krakowskie.

Jesienią i przez zimę wychodzi w drużynie pisemko, odczytywane na zbiórkach. W lecie mniej będzie zbiórek, częściej będziemy robić „wypady" w świat. Zimowy okres pracy zakończyłyśmy wieczorynką krajoznawczą. Zastępy wybrały sobie pewną okolicę i przedstawiły jakieś charakterystyczne pod względem krajoznawczym jej cechy. Najpierw więc wystąpiła ósemka krakowiaków, którzy odtańczyli krakowiaka tak dziarsko i z życiem, że się tylko migały barwne spódnice, wstążki, pawie pióra i pasy nabijane.

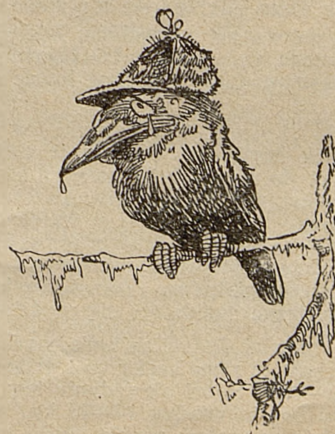
A potem ta sama gromadka odśpiewała szereg pieśni ludowych, związanych z obrzędem wesela i na zakończenie mnóstwo aktualnych krakowiaczków do drużyny i zebranych gości.

Małe „Mewięta" zamieniły się w zgrabnych górali ków i zaśpiewały kilka góralskich piosenek — nie tych znanych wszędzie i ciągle słyszanych, ale wybrały jakieś dawno zapomniane śpiewki, co je tylko wysoko na halach a graniach słychać, z tych, co to góral z góralem gada choć jeden na Zawracie, a drugi w „Pięciustawach" stoi.

Ogólny podziw wzbudził trudny taniec góralski, prześlicznie wykonany. A za chwilę, jakby „skoczylasowy" obraz ukazał się oczom. Wspaniali zbójnicy — zjawa dawnych lat — dawnych gór bohaterzy z długiemi włosami, szerokiemi pasami odtańczyli zbójnickiego — naturalnie dwukrotnie, gdyż podziw „tłumów" nie dał im odpocząć.

Różne tam były jeszcze pląsy i śpiewy, aż wkońcu zgromadzeni zaczęli się oglądać ku mniej krajoznawczo ciekawej okolicy, gdzie na długich stołach złociła się herbata, krzyczały wszelkiemi barwami kanapki — wykręcał się chrust — i wielkim głosem przyzywały do siebie różne słodkości. Okazało się, że zbójnicy nienawykli do takich smakołyków, jedli — jedli, aż im pasy pękały (fakt autentyczny!).

A teraz już wiosna, więc nasze prace i zapędy krajoznawcze w świat poniesiemy, bo nasze krajoznawcze dusze w mieście nam siedzieć nie dadzą. Wieczorynkę krajoznawczą uświetnili swą obecnością p. dr. Stanisława Niemcówna, hufcowa krakowska dhuna Jagusia Orłowiczówna i p. dyr. Krzanowski.





KONGRES OLIMPIJSKI.

W drugiej połowie maja odbędzie się w Berlinie posiedzenie Kongresu Olimpijskiego, celem ustalenia nowych przepisów i omówienia Olimpjady w Los Angelos, która odbędzie się w 1932 roku.

Polska postanowiła dażyć na kongresie do zmniejszenia liczby zawodników w każdej konkurencji do dwóch, najwyżej trzech reprezentantów danego państwa; domagać się włączenia narciarstwa i hippiki kobiecej do igrzysk olimpijskich, oraz przeciwstawić się gimnastyce na przyrządach, wykluczeniu boksu, szermierki i próbom skreślenia konkurencyj kobiecych w pływaniu.

Gdyby do Igrzysk została wprowadzona piłka nożna, to nasza delegacja będzie się domagać rozgrywek grupowych, a nie pucharowych, ewentualnie zatrzymania systemu pucharowego z tym warunkiem, że drużyna odpada dopiero po dwóch, a nie po jednej przegranej.

Gdyby piłka nożna została skreślona, Polska będzie domagać się skreślenia również innych gier.

Delegaci mają zamiar wystąpić przeciwko wprowadzeniu turnieju szachowego, przeciwko sportom motorowym, strzelaniu i . . . przeciwko wprowadzeniu . . . tennisa. (!?)

Zwinny Tur.

S. ARNOLDT.

(Przedruk wzbroniony.)

KAJAK JEDNOOSOBOWY.

„Do pływania na większą skalę może przyjść przy sposobności najtrudniejszego manewru — przewrócenia się łodzi — jeśli wogóle można tu mówić o manewrze. Powtarzam: może przyjść do pływania, lecz nie musi i nie powinno przyjść do tego. Może raz kiedyś dojść do przewrócenia się łodzi, ale nie do pływania. Jeśli zdarzy się nam fatalność, że przewrócimy łódź, to i w tym wypadku zachowujemy spokój, a wtedy nic absolutnie złego zdarzyć się nie może.

Oczywiście, pierwszym warunkiem koniecznym jest, aby łódź napełniona wodą nie utonęła. Łódź powinna być nieprzewracalna, lub niezatapialna — na inne łodzie nie powinno się wchodzić".

Tak powiada Ludwik Szwykowski w broszurze p. t. „Krótki podręcznik żeglarski". Słowa te dadzą się zastosować w zupełności do sportu kajakowego, a w szczególności do amatorów „pojedynek". Dodamy jeszcze od siebie, że przewrócenie kajaku może nastąpić wskutek brawurowej jazdy i niepotrzebnej zabawy. Ażeby z przewrócenia się kajaku nie wynikły przykre następstwa, opracowałem plan kajaku jednosobowego niezatapialnego. Zatapianiu kajaku przeszkadzają bańki powietrzne znajdujące się w dziobach.

Nie będę wymieniał dodatnich i ujemnych cech tego typu kajaku, gdyż posiada te same cechy co i dwuosobowy. („Harcerz" 1929 r. 10—16). Różni się jedynie tem, że jest krótszy o metr, waga waha się między 12—15 kg, a co ważniejsze tańszy. Na wodzie osiągałem na nim ogromną szybkość. Zaznaczyć jeszcze muszę, że mimo swego małego rozmiaru, jest mało wywrotny. (Środek ciężkości jest niżej poziomu wody.) Szerokość jego wynosi 54 cm. Samemu zbudować kajak tego typu nietrudno. Trzeba trochę zaparcia się samego siebie, chęci no i pieniędzy (coprawda niewiele!)

(C. d. n.)

O MOTORACH SŁÓW KILKA.

Jeszcze śnieg leżał na polach, gdy kochany Redaktor prosił mnie o napisanie paru słów o samochodach, motocyklach itp. Tłumaczyłem mu, że to nie ma sensu, że raczej należy pisać o nartach, łyżwach itd., ale wkońcu przekonał mnie, wobec czego artykułu wprawdzie nie napisałem, ale zato spróbowałem jeździć motorem po śniegu, a że mi to nieźle poszło (miłe złego początki), więc postanowiłem, w pierwszych dniach marca wybrać się moim stalowym rumakiem do Zakopanego, tembardziej, że miały się tam odbyć wyścigi motocyklowe na śniegu, co mnie bardzo interesowało. Wyjechałem z domu dość wcześnie, wskutek czego błoto było jeszcze zmarznięte, słońce jednak nie próżnowało, tak, że od Myślenic jechałem już po błocie. Luboń, od północnej strony — dobrze ośnieżony — specjalnych trudności nie stwarzał, dopiero zjazd do Chabówki „dał mi szkołę", ale to jeszcze było niczem w porównaniu z jazdą przez Obidową i całe Podhale. Śnieg, odgarniany na kraje szosy, utworzył rynnę, środkiem której, szemrząc, płynęły strumyki, wskutek czego jazda motocyklem przypominała kąpiel pod tuszem. No, ale, że na szczęście wszystko ma koniec, więc i moja odyssea też się zakończyła. Naturalnie wyścigi też dawno się skończyły i w dodatku, dowiedziałem się, że przeważnie wszyscy zawodnicy maszyny swoje przywieźli koleją. W drogę powrotną wyruszyłem dopiero następnego dnia, postanawiając, że już więcej podobnych eskapad urządzać nie będę.

Tymczasem na szerokim świecie zaczął się już nowy sezon, w czasie treningu do zawodów o Wielką Nagrodę Tunisu zabił się Hr. Mrilli-Peri, jeden z najlepszych kierowców włoskich. W zawodach o Wielką Nagrodę Monte Carlo pięć pierwszych miejsc zajęły wozy marki Bugatti. Odbył się też ostatni tegoroczny pokaz samochodów, a mianowicie Salon Genewski, teraz będziemy musieli czekać aż do jesieni, ażeby w Londyńskiej Olimpji, lub w Paryskim Salonie zobaczyć nowe typy samochodów na rok 1931. Próby pobicia rekordu światowego szybkości samochodowej nie powiodły się, Kaye Don na samochodzie Sunbeam „Silver Bullet" (srebrny pocisk) uzyskał „zaledwie" 292 klm./godz., wobec czego postanowił maszynę trochę poprawić i w przyszłym roku rekord Segreava zaatakować. Tymczasem ten ostatni porzucił zupełnie samochody, poświęcając się motorówkom. Skok ten wykonał już w zeszłym roku, kiedy to na swej „Miss England" ustanowił rekord szybkości dla łodzi jednomotorowych. (Około 170 klm./godz.) Obecnie buduje „Mis England II", która będzie zaopatrzona w dwa motory Napier-Lion, po 900 H. P. każdy, w celu odebrania rekordu szybkości i cennego puharu Amerykanom, a właściwie p. Gar Wood'owi.

J. T. F.

KIEDY BABCIA BYŁA MAŁA.

(Ciąg dalszy ze str. 8.)

Tymczasem w domu wrzała ochocza praca. W spiżarni piętrzył się już długi rząd wysokich złocistych bab. Teraz robiono właśnie dwanaście tradycyjnych mazurków. Każdy miał być inny, a jeden smaczniejszy od drugiego. W wędzarni, na żelaznych sztabach, kołysały się szynki i zwoje pachnących kiełbas. Za oknem kuchennem wisiał szereg indyków, które zwolna kruszały, oczekując, aż przyjdzie pora spocząć na brytwannie. Dziewczynki z radością kręciły się po kuchni, pomagając gorliwie w obieraniu rodzynków i migdałów, za co wolno im było co dwudziesty wsunąć do buzi. Bronka, zapraszana do współpracy, potrząsała przecząco głową i nie chciała wziąć do ust żadnych słodyczy, znoszonych jej przez wszystkich domowników. Najczęściej siedziała sama na schodkach ganku i tępym wzrokiem wpatrywała się w obłoki, żeglujące powoli po szafirowej toni niebios.

Wszyscy domownicy uznali, że jest nieznośnem, szkaradnem i niewdzięcznem dzieckiem.

— Patrzy, jak zbój! — mówiła babunia — jeszcze ani razu nie powiedziała mi dzieńdobry.

— A mnie wczoraj odepchnęła od siebie, kiedy ją chciałam na dobranoc pocałować — westchnęła matka.

— Dzieci znoszą jej migdały, rodzynki, frykasy... te moje aniołki kochane! A ona tylko fuknie i rękę odtrąca, jakby się jej truciznę dawało! — gderała gospodyni Boczkowska.

Nasza mała babcia, łuskająca cicho migdały w kąciku kuchni, podniosła nagle główkę.

— To dlatego, że jej mamusia umarła! Ona nic dobrego nie chce wziąć do ust, bo jej mamusia umarła z głodu . . .

Babcia kiwała nagle, bo żal ścisnął jej gardło. Na serca wszystkich obecnych padł ciężar wielkiego smutku. I choć za oknem świeciło cudne, wiosenne słoce, choć wszyscy mieszkańcy dworu byli zdrowi, weseli, szczęśliwi, cień ponurego przygnębienia, wiejący od małej postaci Bronki, zaczął rozpościerać swoje ponure skrzydła nad całym dworem. Umilkły pieśni i żarty, ucichły wesołe przekomarzania się dziewcząt przy robocie. Dwór stawał się coraz cichszy i coraz smutniejszy. A Brońcia wciąż siadywała na schodkach ganku i patrzyła w niebo ponurym, tępem wzrokiem.

Tak minął Wielki Tydzień. W piątek zaczął padać ulewny deszcz i rodzice sami pojechali na groby. Babcia podchwyciła kilka słów z ich rozmowy.

— Nie, to niemożliwe, nie będziemy tu przecież trzymać tego ponurego bębna. Zatruje nam całe życie! — mówił z gniewem ojciec.

— Nie pozostanie chyba nic innego, jak oddać ją do mateczek do przytułku — rzekła cicho mamusia.

— Zrobiłbym to najchętniej jeszcze przed świętami. Każdy kąsek staje mi w gardle, gdy spojrzę na to dziecko! — Przecież ja jej nieszczęściu nie jestem winien! Nic o ich życiu nie wiedziałem! Siostra nie napisała do mnie ani razu! A byłbym przecież s a m pojechał . . . przywiózł . . . skarżył się ojciec.

Po odjeździe rodziców babcia weszła do pokoju bardzo niespokojna i zmartwiona. Do przytułku! Tam właściwie nie jest źle dzieciom. Ale wszystkie noszą szare, barchanowe sukienki, jedzą tylko żur, kartofle i kaszę i potem, kiedy podrosną, idą do służby . . . Nie, nie można do tego dopuścić! Brońcia musi pozostać w tym domu, gdzie urodziła się i wychowała jej m a t k a . — Ale jak to zrobić?

Babcia pokręciła się po domu i znalazła Bronkę w kącie salonu, siedzącą bezczynnie, z wzrokiem utkwionym przed siebie. Babcia usiadła przy niej.

— Czego chcesz? — zapytała niechętnie Bronka.

— Chciałam cię zapytać, czy nie poszłabyś ze mną na strych. Może znajdzie się tam coś z dawnych rzeczy twojej mamusi. Wiesz przecież, że ona tutaj była małą dziewczynką, tak jak my . . . w tym dworze urodziła się i wychowała.

Bronka spojrzała na babcię i nagle twarz jej uległa dziwnej przemianie. Oczy zalśniły życiem, na usta wybiegł blady uśmiech, pierwszy nieśmiały uśmiech, który tak cudnie opromienił jej rysy, że babcia z podziwu otworzyła usta. Brońcia zerwała się z kanapki i chwytając babcię za rękę, rzekła ciepłym, miłym głosem:

— O tak, chodźmy, chodźmy tam czemprędzej!

Połów na strychu okazał się nader obfitym. Dziewczynki wygrzebały kilka książek szkolnych, jakąś starą, francuską książeczkę do modlitwy, kilka zeszytów i blok, pełen rysunków, wszystko podpisane pięknem, równem pismem: Halunia Zaleska.

— To ona, to moja maminka słodka to pisała! To ona! — szeptała Bronka w najwyższem upojeniu i całowała po tysiące razy każdy podpis i tuliła do siebie znalezione skarby, zalewając się łzami radości.

Nagle znieruchomiała; oczy jej straciły blask i dawna, straszna rozpacz znowu zeszpeciła wyrazistą jej twarzyczkę.

— Wszystko to jest, a jej niema . . . szepnęła ponuro.

— Ona jest także, jest tu koło ciebie! — rzekła z mocą babcia. — Jest cudnym, jasnym aniołem Bożym, który wciąż ochrania cię i czuwa nad tobą!

— Et, to blaga, dobre dla takich cielątek, jak ty! — mruknęła Bronka, wpadając zpowrotem w swój dawny szorstki ton. — Ja za dużo złego w życiu widziałam, żebym mogła w takie bajki wierzyć.

— To okropne, co ty mówisz! — rzekła z trwogą babcia, i chcąc odwrócić uwagę Bronki, dodała: — Patrz, tu jeszcze jeden rysunek twojej mamy. Widzisz, taki ładny króliczek wychodzi z kolorowego jajka. A pod tem podpis: Wesołego Alleluja!

— To wszystko kłamstwo i blaga! — szeptała z rozpaczą Brońcia. — Króliki nie lęgną się z kurzych jajek. Widziałaś kiedy królika, coby się wylągnął z jaja?

Babcia oburzyła się do głębi.

— Jesteś obrzydliwy, niewierny Tomasz! Jeśli Bóg zechce, to nawet słoń wyjdzie z kurzego jajka, nietylko taki mały króliczek. Bóg może zrobić każdy cud, jak tylko mu się spodoba!

— Więc niech Bóg zrobi cud, żebym uwierzyła, że moja maminka jest przy mnie. Inaczej nie będę mogła, nie potrafię uwierzyć! . . .

— A jeśli Bóg zrobi cud? — spytała babcia z bijącem sercem.

— To uwierzę i może . . . może nie będę już tak bardzo rozpaczała za moją maminką! — szepnęła Brońcia, chyląc głowę ku ziemi.

Obie dziewczynki zniosły na dół całe naręcze odnalezionych skarbów i ukryły je w pustej, zapomnianej komórce pod schodami. Tam Brońcia mogła mieć do nich łatwy dostęp. Babcia doskonale rozumiała, że trzeba taką rzecz zachować w sekrecie. Poco się mają starsi wtrącać w tajemnicę dziecinnego, zbolałego serca?

Ułożywszy porządnie książki i zeszyty na rozścielonych gazetach, dziewczynki pobiegły do umywalni. Kiedy zaś umyły ręce i otrzepały z kurzu sukienki, Brońcia objęła nagle babcię gorącym uściskiem i szepnęła jej do ucha:

— Dziękuję ci, serdeczna ty moja . . . to moja pierwsza dobra chwila od czasu, kiedy maminki niema . . . Ale Bóg i tak cudu nie zrobi! — zakończyła z głębokim smutkiem.

— Kto wie? . . . rzekła tajemniczo babcia.

Tej nocy obie dziewczynki nie mogły zmrużyć oka. Brońcia cieszyła się swemi skarbami i ze zgrozą wspominała ostatnie okropne miesiące choroby matki. Babcia wytężała całą swoją pomysłowość na to, jakby dopomóc Panu Bogu do zrobienia cudu. Oczywiście Sam nie będzie miał głowy na to w samo Święto Zmartwychwstania!

I nagle zajaśniał jej w mózgu zuchwały plan . . . kręciła się w łóżku niemal aż do świtu, słuchając ciężkich westchnień Brońci, wreszcie, gdy blady świt zaczął złocić okna, usnęły obie twardym snem młodości.

Ranek zajaśniał cudnem, promiennem słońcem. Babcia obudziła się w najlepszym humorze. Brońca wstała ponura, jak chmura gradowa. — W domu wrzało. Kończono sprzątanie. Dwór cały lśnił blaskiem froterowanych posadzek i śnieżystą bielą firanek. W dużym, chłodnym pokoju, przytykającym do jadalni, ustawiano stoły na święcone. Dziewczynki z przejęciem przyglądały się tej uroczystej ceremonji i całą duszą brały w niej udział.

Na śnieżnych obrusach ustawiono naprzód rząd wysokich bab, z czapami lukrowanemi w różne kolory. Na środku stołu stał cudny baranek z masła, z jedwabną chorągwią na złotym drążku. Z jednej strony baranka wyszczerzała na półmisku białe kły ogromna głowa wieprzowa, z chrzanem w niedomkniętym ryjku. Za nią piętrzyły się zwoje kiełbas, szynki, indyki pieczone i różne inne mięsne specjały, umajone gałązkami bukszpanu i przybrane kolorowemi pisankami. Z drugiej strony królestwo słodyczy roztaczało wszystkie swoje uroki. Tutaj pyszniło się owych dwanaście mazurków najwymyślniejszemi barwami i kształtami. Różnego rodzaju strucle i kołacze zdobiły brzegi stołu. Na samym zaś przodzie stały cztery spore babki, jednakowego kształtu, przeznaczone dla dziewczynek. Na każdej wypisane było kolorowym lukrem imię posiadaczki.

Mamusia do każdej babki dołączyła po trzy najładniejsze pisanki.

Zaledwie ukończono przygotowania, chłopak kredensowy wpadł do pokoju z oznajmieniem, że ksiądz proboszcz już jest we wsi. Cała rodzina i domownicy, odświętnie ubrani, zgromadzili się przy świątecznym stole. Cztery dziewczynki ustawiono rzędem koło stołu. Wprawdzie Brońcia chciała uciec, ale babcia tak błagalnie na nią spojrzała i tak dziwnie wzruszoną miała przytem minkę, że Brońcia mimowoli uległa jej i została na swem miejscu, twarz miała jednak tak zmienioną, że obecnym przykro było na nią patrzeć. Ojciec wyszedł na ganek powitać ważnego i oczekiwanego gościa.

Wreszcie dał się słyszeć zamaszysty trzask bata, wesołe głosy powitania i ksiądz w śnieżnej komży wszedł uroczyście do pokoju. Za nim toczył się gruby organista z kropidłem i święconą wodą. Wszyscy obecni rzucili się do rąk księdza proboszcza z powitalnym pocałunkiem. Jedna tylko Brońcia nie poruszyła się ze swego miejsca i nie podniosła nawet głowy, kiedy ją przedstawiano poczciwemu proboszczowi. Była tak zacięta i ponura, jak nigdy dotąd nie bywała. Babcia natomiast nie mogła ustać na miejscu. Z wypiekami na twarzy kręciła się wciąż koło stołu, w miejscu, gdzie stały cztery lukrowane babki i widać było, że jest czemś niesłychanie przejęta.

Ksiądz proboszcz ujął kropidło i rozpoczął modły. W promieniach zachodzącego słońca stał nad bogato zastawionym stołem w aureoli swoich siwych włosów i mówił z przejęciem niezrozumiałe wyrazy, które dzieciom wydawały się czarodziejskiem zaklęciem.

Bronka zacisnęła ręce i pochyliła czoło. Ach uciec, uciec z tego domu, od tej niepojętej udręki, która rozdziera jej serce! Hania mówiła, że może przyjść cud . . . gdzież on jest, ten cud upragniony, któryby jej życie przemienił? Niema, nic niema, jest tylko rozpacz i straszny ból sieroctwa . . .

Ksiądz zamachnął się energicznie ręką i zaczął kropić stół od jednego końca do drugiego. I nagle . . . pośród zgromadzonych rozległ się szmer zdumienia. Brońcia spojrzała i zamarła, wpatrując się szeroko otwartemi oczami w pewien punkt na stole. Oto wierzch babki z jej imieniem zaczął nagle falować i kołysać się, jakby od wnętrza wstrząsała nim jakaś niesamowita siła. Nagle babka cała poruszyła się i zaczęła maszerować po stole. Ksiądz proboszcz sam oniemiał z podniesionem do góry kropidłem. Babka przymaszerowała do baranka z czerwoną chorągiewką, stanęła, podskoczyła trzy razy do góry — wierzchołek jej odpadł i potoczył się na ziemię, a ze środka wychylił się cudny, biały, żywy króliczek z różowemi oczkami i zaczął gramolić się na wierzch, śmiesznie parskając i ruszając pyszczkiem.

Ojciec przeczuł psotę i groźnie spojrzał na dziewczynki. dostrzegł też zaraz twarz babci w płomieniach i już chciał wybuchnąć gniewem, kiedy nagle zaszedł niespodziewany wypadek. Brońcia, która dotąd stała jak skamieniała, rzuciła się nagle na kolana i zaczęła szlochać w szale radości.

— Cud! cud! To maminka moja zesłała mi ten znak z nieba! O, jaki Bóg jest dobry!' O, moi wy złoci! . . .

I porwawszy się z kolan, wszystkich dokoła siebie całować i ściskać zaczęła, w uniesieniu bezbrzeżnego szczęścia. Króliczek zabrał się do zielonej rzeżuchy, przystrajającej środek stołu i pasł się w najlepsze, przeskakując przez kiełbasy i szynki.

Nagły wybuch Brońci zerwał niechęć, jaką mimowoli obudziła dookoła siebie. Ojciec i matka, babunia i ksiądz proboszcz, wszyscy zaczęli ją pieścić i ściskać z największą serdecznością. Brońcia oddawała pieszczoty i uściski, a kiedy podeszła do babci, rzuciła jej się na szyję z nowym wybuchem radosnych łez.

O Haniu, miałaś słuszność! Bóg wszystko może! — wołała wśród płaczu. — Nie myślałam nigdy, żeby mógł zwrócić uwagę na taką biedną sierotkę, jak ja . . . I to w sam dzień Zmartwychwstania! Teraz nie będę się już smuciła! O, jak mi dobrze, że jestem z wami!

Kiedy minęło pierwsze wrażenie, a starsi przeszli do salonu, żeby spokojnie omówić niebywałe wydarzenie, dziewczynki wyprosiły od gospodyni śliczny, nowiutki koszyczek, wyłożyły go najpiękniejszemi szmatkami i umieściły w nim króliczka, który dotąd wyprawiał najzabawniejsze harce na stole świątecznym. Brońcia śmiała się do rozpuku razem z siostrzyczkami i teraz dopiero zauważono, ile ma wdzięku.

— Wiesz, ona jest naprawdę bardzo ładna! — szeptała Janeczka do Marylki.

— A jaka jest miła, jak ślicznie się uśmiecha! — unosiła się Marylka.

— To dziecko w jednej chwili zmieniło się do niepoznania! I jak tu nie wierzyć w cuda! — mówił w salonie ksiądz proboszcz.

— Czy dobrodziej nie uważa, jak bardzo w uśmiechu podobna jest do naszej biednej Halunii? — rzekł cicho ojciec i oczy zaszły mu łzami.

Króliczek, znużony harcami, zasnął wreszcie w koszyku. Dziewczynki postawiły koszyk przy łóżku Brońci. Tymczasem w kościółku ozwał się dzwon . . . Powoli, uroczyście zakołysał się na wieży, zwołując ludzi na Resurekcję. Konie czekały już przed gankiem. Dwa powozy żywo potoczyły się przez wieś. Przed kościołem stało już mnóstwo ludzi. Babunia, a za nią rodzice z nauczycielką i z czterema dziewczynkami, podążyli ku ławie kolatorskiej. Za niemi potoczyła się gruba Boczkosia z całym sztabem dziewcząt dworskich. Ludzie w kościele potrącali się i pokazywali palcami na Bron-

Ćwiczenia i gry.

Ćwiczenia zmysłów.

DŹWIĘKI. Ćwiczenie polega na tem, że w izbie, gdzie się zbiórka odbywa, wywołujemy szereg dźwięków rozmaitych jak: darcie papieru, wycieranie plamy gumą, zamykanie drzwi, przewracanie kartek w książce itp. Można z tych dźwięków ułożyć całą historję, powiązać je w logiczną całość np. ktoś wchodzi, a więc słychać kroki, szelest zdejmowanego płaszcza, zatrzasek przy ściąganiu rękawiczek, otwiera okno, przynosi wodę, podlewa kwiatki, odcina zeschłe liście nożyczkami, przynosi szczotkę, zmiata liście i idzie je wyrzucić itp.

W lecie na wsi urządzimy takie ćwiczenie na wolnym powietrzu, nasłuchując i rozpoznając odgłosy ze wsi, jak młocka, szczekanie psa, stuk kijanek itd.

PRZELEWANIE WODY. Gdy przelewamy wodę z naczynia do naczyniazauważymy, że nie zawsze przelewaniu towarzyszy taki sam odgłos. Inny szelest wydaje woda przelana ze szklanki do szklanki, a inny przelana ze szklanki do pustego wysokiego wiadra, inaczej pluśnie płyn przelany z talerza do miski, a inaczej z butelki do tejże miski.

Przygotujemy i pokażemy dziewczętom dużą miskę oraz kilka naczyń: szklankę, dzbanek czy sagan z długim i cienkim dzióbkiem, talerz głęboki i wąską butelkę.

Mówimy dziewczynkom, że będziemy teraz wylewać wodę z tych naczyń kolejno do miski, po odgłosie, jaki woda wyda, postarają się zorjentować, z którego naczynia woda się leje.

Przy wylewaniu wody ze szklanki, szelest będzie trwał krótko i będzie stosunkowo cichy, zwłaszcza, że szklankę będziemy trzymać nisko, gdy przechylimy nad miską talerz z wodą, chlust tej wody będzie krótki, silny i woda spadnie ciężko, bo będzie szeroką falą wylana z talerza. Bulgotanie wody o ściany butelki lekko przechylonej, pozwoli zaraz odróżnić słuchem, z jakiego naczynia woda się leje, a gdy z kolei weźmiemy dzbanek do ręki, to szum długiej strugi lecącej łukiem z dzióbka do miski zdradzi rodzaj naczynia, jakiem się w danej chwili posługujemy.

Możemy też wprowadzić taką odmianę, że będziemy lać wodę ze szklanki do wiadra, ale z różnej wysokości. Wystarczy 4 razy. Każemy teraz ocenić, kiedy szklanka była najwyżej, a kiedy najniżej umieszczona, przy 1, 2, 3, czy też 4-em przelewaniu. Przy najniższem położeniu szklanki plusk wody będzie pełny i równy, przy najwyższem, rozpryskująca się woda wywoła cały szereg nierównych i hałaśliwych dźwięków.

Podobnem ćwiczeniem do tego będzie r z u c a n i e p i e n i ę d z y na stół po jednej sztuce. Harcerki, orjentując się według dźwięków, wydanych przez spadający pieniądz, postarają się rozróżnić poszczególne monety.

Na boisku rzucimy 4 razy piłką w górę na różną wysokość (różnice rzutów muszą być znaczne), po odgłosie spadającej piłki odgadną dziewczęta, kiedy piłka była najdalej, a kiedy najbliżej ziemi.

Na wsi przepędzimy obok siedzących dziewcząt konia, psa, kota, krowę, kurę i każemy odróżnić je słuchem po chodzie.

Wybierzemy się na przechadzkę po wsi w okresie młocki i po odgłosie cepów będziemy wnioskowały, ilu ludzi młóci. Za każdym razem można odrazu sprawdzić.

Roześlemy kilka dziewcząt w najbliższą okolicę, wybierzemy zupełnie jednakie gwizdki i rozdamy im i polecimy z pewnej odległości od 20—200 kroków zagwizdać. Każda z innej odległości. Reszta zastępu ocenia odległość po głosie gwizdka.

Innym razem będziemy ciąć nożyczkami raz grubą tekturę, to kartkę z zeszytu, to cienki karton, to znów angielską bibułkę lub przeźroczystą kalkę.

Po szeleście ciętego papieru rozpoznają dziewczęta rodzaj papieru.

Albo przedrzemy na pół kawałek cienkiego jedwabiu, grubego sukna, zwykłego płótna, sprujemy kawałek starej grubej pończochy, a harcerki rozpoznają usłyszane szelesty i zauważą różnice między nimi; inny szmer wydaje darte płótno, inny cienka jedwabna tkanina, odróżnią również łatwo szum spuszczanych oczek na pończosze, zwłaszcza jeżeli jest z grubej wełny zrobiona.



Gry dla zastępu.

MARSZ PRZEZ GÓRY. Stawia się dwa krzesła plecami do siebie na pewnej odległości, nawprost zastępów, biorących udział w zawodach. Są to szczyty „Gór Skalistych", które każdy zastęp ma przebyć. Na gwizdek każda z harcerek po kolei wchodzi na bliższe krzesło, i poprzez zestawione plecy krzeseł przedostaje się na drugą stronę „grzbietu" i stamtąd na ziemię. Wszystko to ma być zrobione cicho, bez szelestu, w możliwie krótkim czasie. Dziewczęta przyglądają się ćwiczeniu (przed dokonaniem „wspinaczki" lub potem), zachowują kompletną ciszę. Za każdy szmer liczy się danemu zastępowi punkt karny. Zastęp, mający najmniejszą ilość punktów, wygrywa.

APTEKA. Zastępy stoją w szeregach, naprzeciwko każdego zastępu stoi harcerka z notesem w ręku, wyobrażająca „aptekę". Zastępowa ogłasza wypadek lub chorobę; z każdego szeregu wychodzi jedna z druhen i żąda w „aptece" trzy środki zaradcze na daną chorobę. Wygrywa zastęp, który podał największą ilość właściwych środków. Mogą to być trzy lekarstwa lub np. lekarstwo i bandaż, wraz z wymiarem.

POLOWANIE NA ZAPAŁKI (na wycieczce). Zastępowa rozsypuje na łące w trzech lub czterech miejscach siano lub słomę i chowa w każdem z nich tyle zapałek (zużytych), ile druhen bierze udział w grze. Na gwizdek harcerki wybiegają i każda z nich ma znaleść po jednej zapałce w każdej kopce słomy po kolei i z niemi wrócić do zastępowej.

---

kę, opowiadając sobie historję „cudu", która dobiegła już do wsi.

Zaczęło się nabożeństwo. Zagrzmiały organy. Od ołtarza zadźwięczał głęboki bas proboszcza i przenikliwe trele srebrnych dzwonków. Nagle — runęła pieśń:

— Alleluja! Alleluja!

Mury kościółka zatrzęsły się od pieśni.

A wtedy wniebowzięta dusza Bronki — w oparach kadzideł i w oszałamiającym grzmocie radosnej pieśni Zmartwychwstania — dziwnego doznała olśnienia. Oto od ołtarza oderwała się przeźroczysta, jasna postać maminki. Uśmiechnięta i słodka — piękna, jak niegdyś, za czasów dzieciństwa — maminka spłynęła do swej małej córeczki w smudze złotych promieni i miękkie, delikatne ręce złożyła jej na głowie. Brońcia przymknęła oczy. Po policzkach płynęły jej zwolna duże, przeczyste łzy, łzy najgłębszego szczęścia i zachwytu.

A kiedy znów podniosła powieki, maminki już nie było, tylko triumfujący Chrystus u ołtarza — w morzu kadzideł — podnosił wysoko w górę szkarłatną swą chorągiew. Dzwon dzwonił potężnym dźwiękiem, a pieśń ludu aż pod niebo szła krzykiem radosnym:

— „Chrystus Zmartwychwstał . . Zmartwychwstał . . . Zmartwychwstał . . . Alleluja!"

„Mały podręcznik obozowania."

W ostatnim czasie nakładem Wojsk. Instytutu Wydawniczego ukazała się broszurka p. t. „Mały podręcznik obozowania", napisana przez inż. Zb. Trylskiego, instruktora harcerskiego, obeznanego dobrze z życiem i techniką obozowania.

Książeczka ta jest poprostu „Vade mecum" dla tych wszystkich, którzy zrozumieli potrzebę większego współżycia z przyrodą i czerpania z niej tych wszystkich korzyści, jakie są konieczne dla normalnego rozwoju organizmu ludzkiego, a więc ruchu, światła i powietrza. Znajdujemy w niej przeto szereg rad i wskazówek, jak należy się przygotować do większych wycieczek czy też krótkich obozów wędrownych, poprostu do „włóczenia" się. Znajdziemy przedewszystkiem spis rzeczy potrzebnych na takie wycieczki, czy obozy i sposoby pakowania tych rzeczy. Następnie obszernie omawia autor kwestję namiotów, mianowicie podaje 2 typy namiotów wycieczkowych, które można bardzo łatwo wykonać własnemi siłami, a przez to uczynić je tańszemi i temsamem dostępniejszemi. **Ten rozdział powinien specjalnie zainteresować drużyny harcerskie.** W dalszym ciągu znajdujemy wskazówki jak rozbija się obóz (Camping), jak się go zwija, buduje kuchnie polowe itd.

Nieco obszerniej potraktował autor kwestję pożywienia względnie gotowania na obozach. Cały szereg przepisów różnych potraw będzie bardzo przydatnym nawet dla większych obozów harcerskich. Wkońcu znajdziemy podaną literaturę dla chcących zapoznać się lepiej z życiem i techniką obozowania.

Ogółem więc książeczka ta, bardzo treściwie a zarazem wszechstronnie ujmująca zasady obozowania, zainteresuje z pewnością szersze rzesze społeczeństwa, gdyż będzie ona pomocną tym wszystkim, którzy ukończywszy swe zajęcia, zechcą czas wolny spędzić z pożytkiem dla swego zdrowia na wolnem powietrzu, w górach czy lasach.

Wielką to zasługą Wojsk. Instytutu Wydawn. w Warszawie, że przez małe swe wydawnictwa propaguje tak ważne i poważne ideje „campingu", który w zdrowych i silnych społeczeństwach dawno już zyskał prawo powszechności.

Niska do tego cena tej broszurki (1.50) udostępnia ją każdemu, a przedewszystkiem pozwala na znalezienie się jej w każdej bibljoteczce szkolnej, drużyny harc., strzeleckiej, czy koła sportowego.

Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1 zł, kwartalna 1,50 zł, półroczna 3 zł, roczna 6 zł.

W skład Komitetu redakcyjnego wchodzą: Olga Grzbielowa, Marja Kapiszewska, Jadwiga Laszczkówna, Jan Grzbiela, Henryk Kapiszewski, Adam Kossowski, Adam Kozaczka, Tadeusz Wąsowicz, Marjan Wierzbiański, Adam Wiliński, Jan Kazimierz Zaremba, Pracą Komitetu redakcyjnego kieruje Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Sląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.

Odbito w Drukarni Śląskiej, Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.